

szcie dotarłem do wieszadła; tu wisiał palcot i kapelusze męski. Sam nie wiem, czy chciałem te rzeczy przechować, by odciąć odwrót właścicielowi, czy też tylko przekonać się, czy są to rzeczy którego ze znajomych. Tego doprawdy sam już nie wiem.

Lecz teraz ani paltota ani czapki — czapki dziołkiejki, jak się dotknęciem o tem przekonałem, nie było na haku... Na wieszadle nie wisiało nic. To ona widocznie zabrała te rzeczy, to ona użyła męskiego przebrania!...

Sam nie wiedziałem, co mam o tem myśleć. Choć znałem ją dobrze i dawno, na taki jej wybryk nie byłem przygotowany. A więc tu nie było mężczyzny w grze... a jeżeli?...

Wątpliwość pognęła mnie na schody. Nie siląc się już na rozwiązanie zagadki, zacząłem ostrożnie wstępować po stopniach. Nie bałem się już wcale, wściekły z gniewu byłem i zimny jak lód.

Znałem dobrze rozkład pokoi na drugim piętrze. Znałem każdy zakątek i mogłem wszędzie trafić bez światła. Przez ostrożność jedynie zdjąłem trzewiki u stóp schodów. Chciałem intruza złapać z nienacką. Miałem zapalnik w kieszeni. Zaświecę zapalnik, gdy tylko oddech jego postyszę. Sam wstrzymałem oddech, skradając się cicho.

Wyszedłszy na górę, przystanąłem i zacząłem słuchać. Głuche, ponure milczenie dokoła.

Zastanawiałem się, czy iść najpierw do frontowych pokoi, czy też wąską sionką ku tylnym schodom, gdy przypomniałem sobie cienką smugę dymu, która najpierw zwróciła moją uwagę.

To było dla mnie wskazówką. Jeden przecież był tylko pokój na tym piętrze, w którym można było napalić. Leżał o parę kroków ode mnie, a wychodził z tej wąskiej sionki, o której wspominałem.

Zresztą, dlaczego tylko uszomnym ufałem, kiedy węchem mogłem się kierować? Uszedłszy parę kroków, poczułem wyraźnie lekki zapach dymu i już teraz śmiało pchnąwszy wpółotwarte drzwi, stanąłem w progu, zapaliłem zapalnik i trwożnie rozejrzałem się dokoła.

Pusto tu było jak wszędzie. Parę krzeseł, toaleta — była to bowiem garderoba dla pań — trochę dogasającego popiołu na kominku, otomana ze stosem poduszek na niej — nikt — nikt jednak w pokoju.

Odgłos, który postyszałem, nie z tego doleciał pokoju, ale coś mnie wstrzymało, nie pozwoliło szukać dalej. Ziębnięty do szpiku kości, szcękając mimowolnie zębami, stałem w progu, a gdy zapalnik zgasł mi w ręku, stałem dalej w tej ciemności i drżałem, przejęty uczuciem strachu, jakiego nigdy jeszcze nie zaznałem w życiu.

II.

ONA TO BYŁA — ONA!

Sam nie wiedziałem dlaczego. Sam nie wiedziałem, czego się boję. Nie bałem się napaści, gdyż ta, tak jak we drzwiach stałem, mogła mi tylko grozić z tyłu, a tymczasem ja obawiałem się tego, co się w tym pokoju znajdowało, choć pokój był pusty. I nie wiem, czemu nie uciekłem stamtąd? Tyle przecież było ciemnych miejsc, korytarzyków do przeszukania, gdzie mógł się ukrywać, któregoś mógł uciec ten, którego obecność podejrzewałem...

Ale ja w tej chwili nie myślałem o intruzie... coś innego pochłaniało mnie w zupełności. Nie widzieć, a czuć — czy w tem leżała groza? A więc trzeba się ratować, trzeba zapalnik zaświecić. Potarłem zapalnik i jeszcze raz rozejrzałem się po pokoju.

Zauważyłem tylko jedną rzecz nową, a to mnie tak odrzuciło, że odskoczyłem do sieni. Pewien wytrwały upór wrodzony przyszedł mi jednak na pomoc; to też jednym skokiem wróciłem do pokoju i stanąłem przed otomana i przed tym stosem poduszek.

Dużo tam leżało tych poduszek — wszystkie, które były w tym pokoju i więcej nawet jeszcze. Pozdejmowano je z foteli, z okna, z kanapki pod

oknem i wszystkimi to ułożono z pewnym planem, który mi się wydał dziwnym. Czy to był pomysł zarządcy? I nie wydało mi się to prawdopodobnym i już chciałem ściągnąć jedną z poduszek, gdy znów ogarnął mnie ten mimowolny strach. Spojrzałem przez ramię na kominek; wznosiło się stamtąd słabe pasemko dymu, które przeciąg może wydmuchnął na pokój.

Słabo mi się zrobiło. Czy to od tej woni? To nie był swąd palącego się drzewa, ani też chyba papieru... tu druga moja zapalnik zgasła.

Podniecony teraz wielce, omackiem wyszedłem z pokoju i znalazłem się na schodach. Siyszałem, jak Karmela Cumberland rzucała lichtarz i świecę. Muszę to odszukać i zbadać rzecz do gruntu. Może nic wielkiego niema na tem, ale trudno, muszę rozstrzygnąć wątpliwość i odzyskać spokój.

Poszukałem zatem lichtarza i świecy i zapaliwszy świecę, poczułem się nareszcie do pewnego stopnia panem położenia.

Wróciłem teraz spiesźnie do pokoju, który mnie tak bardzo, tak niepokojąco ciągnął i postawiwszy



młoda dziewczyna, trzymająca lichtarz w ręce.

lichtarz na toalecie, zbliżyłem się do otomany. Sam nie wiedząc, czego szukam i czego się lękam, ściągnąłem jedną z poduszek. Okazało się, że pod nią było ich więcej — ale pod niemi...

Z pomiędzy poduszek wysuwał się lśniący warocz kobiecych włosów... Drżąc cały, dysząc, zacząłem ściągać poduszkę za poduszką — aż padłem na kolana, zdruzgotany, unicestwiony czemś okropnem, straszem...

Śmierć miałem przed oczyma — śmierć gwałtowną, niespodzianą — a ofiarą jej była kobieta. Kobieta... tak... ale kto?

Choć jeszcze nie odkryłem głowy, wydało mi się, że ją znać muszę, że ona...

Nie wiem już sam, czy sekundy minęły, czy też minuty, zanim podniosłem ostatnią poduszkę. Dla mnie były to wieki... A choć nie jestem sentymentalny, mam przecież w sobie sumienie. I w chwilach owych zbudziło się we mnie sumienie.

I odtąd nigdy nie zmilkło zupełnie.

Poduszki nie ukrywały rąk. Ja jednakże nie spojrzełem na nie... Nie śmiałem spojrzeć. Wpierw muszę zobaczyć twarz. Powoli więc usunąłem na bok ostatnią poduszkę, walcząc z mocą jakąś, która krępowała moją wolę. Walcząc z trwogą i okropnem przeczuciem, drżącymi wargami szeptałem:

— Boże! Boże! Zmiłowania!

Na razie odsłonił się jeszcze jeden kosmyk jasnych włosów; potem część jednego policzka, ledwie widzialna w powodzi rozwichrzonych włosów i w zagłębieniu poduszki: wreszcie białe gładkie czoło i stężałe, szeroko rozwarte oczy...

Upuściłem poduszkę. Zmiłowania bożego nie było nademną...

Ona to była — ona! I sąd surowy, sąd nademną zakrzepł w tem spojrzeniu. I nie było w niem żadnej litości, chociaż kajałem się w żalu i wzywałem zmiłowania!

Nie żyje! Adela! Ta kobieta, którą skrzywdzić postanawiałem dziś jeszcze, a która mnie teraz tak strasznie skrzywdziła!

Nie mogłem tego myślą objąć, nie rozumiałem. I nagle zbudziła się we mnie straszna, niepokojąca ciekawość: jakim sposobem stało się to i dlaczego?

Usunąłem na bok poduszkę i wpatrzyłem się w twarz mej nieszczęsnej oskarżycielki, chcąc wydrzeć jej tajemnicę tej zbrodni, która mi wracała wolność... Ach nie tak, nie tak odzyskać ją pragnąłem, choć tak niedawno jeszcze marzyłem o jej odzyskaniu!...

Twarz jednakże nie mówiła nic — mówiły tylko te oskarżycielskie, na wierzch wysadzone oczy. Zbrojąc się w odwagę, zacząłem rozglądać się w sytuacjami, badać otaczające warunki.

To bowiem była moja narzeczona. Cokolwiek zamierzałem, jakkolwiek odbiegła od niej miłość moja, zaczęta urokiem jej siostry — tej młodej dziewczyny, która przeszła tędy chwilę temu — Adela i ja od wielu już miesięcy byliśmy zaręczeni; nawet dzień ślubu naszego był jużznaczony.

Ale to wszystko minęło teraz — skończyło się, tak jak się skończyło jej życie, nagle, niezrozumiale i nie z bożego wyroku. Nawet pierścienia nie było na jej palcu, symbolu naszych zaręczyn. Ale to zrozumiałe. Zdjęła go widać, nim popełniła czyn, który mnie zdradą piętnował. Ujrząc ja jeszcze ten pierścień z pewnością! Otrzymam go w liście, pełnym gorzkich słów...

Lecz nie chciałem myśleć o tem teraz. Chciałem wiedzieć przedewszystkiem, jakim sposobem targnęła się na życie, czy zapomocą trucizny, czy...

Z pewnością, że za pomocą trucizny. Tak subtelna kobieta, jak ona, nie uciekłyby się do innego sposobu... Ale jeżeli tak, co znaczą te piętna na szyi, coraz ciemniejsze i ciemniejsze, w miarę, jak na nie patrzyłem?

Zmysły zdrewniały we mnie, gdy tak oglądałem te ślady. Małe, ale śmiertelne, rzucały się w oczy po obu stronach białej jej szyi — aż wreszcie już dłużej znieść tego nie mogłem i chwielejąc zatoczyłem się pod przeciwną ścianę.

I już teraz nie widziałem ani tego pokoju, ani tej otomany, ani tego leżącego ciała — tylko prześliczną twarz młodej dziewczyny i ten jej

wyraz, tak sprzeczny z jej siedemnastą wiosną. I daremnie chciałem oszukać sam siebie... rozum nieubłagane szukał śmierci tej wyjaśnienia.

Jako samobójstwo była ona zrozumiała, jako morderstwo, nie — chyba, że...

A jednak to było morderstwo!

Padłem na ziemię, gdy to zrozumiałem.

III.

OTWIERAĆ!

Pierwszą moją myślą było, że Adela się otruła. A to dlatego, że zauważyłem dwa małe kieliszki na stolczku przed kominkiem. Zbliżyłem się i zająrzałem do tych kieliszków.

Oba były próżne. W obu jednakże znalazłem jeszcze po kropki likieru anyżowego, a choć butelki nie widziałem nigdzie, byłem pewien, że musi być gdzieś w pokoju.

Co działo się przed — co stało się po wypiciu tego likieru?

(Dalszy ciąg nastąpi.)